Nr. 44.

Biuro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świa-tu Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Warszawa, dnia 20 Października (1 Listopada) 1871 roku.

ROK VII.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwartał. (w tém miesci się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycyę kop. 33¾).
Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka u lUica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* **Budkiewicza** księgarza.

PO PÓŁNOCY,

RAMOTKA

PRZEZ **K...**

(*Dokończenie*).

Teraz zaprowadzę cię, czytelniku, w takie miejsce, gdzie wstęp o północy dozwolony z ludzi obcych tylko..... powieściopisarzowi.



Z życia górali.

Ciekawy jesteś? — Chodź — Skradamy się na palcach — Odchylamy purpurową portyerę i stajemy w progu.... pokoju dziewiczego! To zuchwałość — nieprawdaż? Ale nie bój się — ukryję cię w fałdach mego niewidzialnego płaszcza i będziemy bezpieczni. Patrzaj jak tu pięknie. — Księżyc zagląda przez szybki i rozrzuca swe blade promienie, które dodają wdzięku uroczemu przybytkowi niewinności. Duch porządku i czystości zakrólował tutaj — tchnienie dziewiczości unosi się w powietrzu.

Rozglądasz się ciekawie, obejmujesz okiem wszystkie przedmioty, które tutaj poddały małe wytworne rączki pod żelazne panowanie ładu, symetryi i smaku.—Każdy gracik ma swoje właściwe miejsce.—W tém małém królestwie wszyscy w zgodzie i harmonii z sobą.

Albo te śliczne łóżeczka! Okryte miękkiemi puchowemi kołderkami, okrywającemi jasne, miększe, puchowe ciałka.... Lekkie zgięcia fałdów atłasowych dają się domyślać łakomemu oku tysiąca pawabów, które wyrazić może tylko pędzel lub dłuto. Jaka to szkoda, że opowiadam tylko ramotkę! Gdybym to kleił jaki romans kilkotomowy, miałbym prawo à la Victor Hugo zakląć w swoje pióro całe czarodziejstwo obłoczkowego, miękkiego, rozkosznego stylu, aby wypieścić, wychuchać obrazek tego rozkosznego palladium domowego. Możebym i potrafił! Ale gotowi krzyknąć Zoile, że się bawię w jakieś zużyte epizodziki.... Wolę za to ukazać pokoik w nowém świetle. Właśnie albowiem Teofilka, wysunąwszy z pod kołdry cudnie utoczoną rączkę, zapaliła świécę stojącą przy łóżku.

— Czy ty śpisz, Zosiu? zapytała cichutko, zasłaniając dłonią oczy urażone nagłym, jarzącym blaskiem.

— Ale gdzie tam... Przyczaiłam się tylko... Czy już czas?

— Za kilka minut nadejdzie — wstawajmy!

Odchyliły lekko kołderki, siadły no łóżkach, wysunęły nóżki, które odziały w białe cieniutkie pończoszki i pantofelki aksamitne. Teofilka postawiła świécę na stole i usiadła, podparłszy się ręką w niemej pozie oczekiwania, Zosia uczyniła to samo i przez chwilę siedziały tak nieruchomie, patrząc sobie w oczy.

— Coś dzisiaj się spóźnia—zaczęła piérwsza Teofilka.

— Niedobry.... widać nie przeczuwa, że nam tak apetyt dokucza... Dawno już tak głodną nie byłam...

— I ja także... Mało brakuje a zjadłabym ciebie nawet...

— To jeszcze pytanie, czybym ci smakowała?

— Prawda — zanadto słodka jesteś. Ale cóż robić, gdy niéma czego pożywniejszego,—dobre cukierki, ciastka i sucharki... chociaż mdłe i kruche.

— Przecież ja, moja droga, ani mdła, ani krucha nie jestem. I tak już dosyć papa się gniewa, że nie chcę chudnąć...

— Ale, ale, kiedy mowa o twoim papie— wartoby się przekonać, czy też chrapie!

— Patrzaj! Improwizatorka! Rymami mówi!

— No, no, zostaw na późniéj zachwyty nad moim poetycznym talentem, a teraz czekaj tu i siedź cicho.

To mówiąc, ostrożnie, pocichutku na palcach wyszła do bawialnego pokoju, zbliżyła się do drzwi od pokoju państwa Floryanów, stanęła chwilkę i z zadowoleniem zauważyła miarowe sapanie pana Floryana, który, posłyszawszy w salonie jéj kroki, udawał śpiącego z energją godną lepszéj sprawy, bo chrapał i dychał, że aż się rozlegało. Szybko wróciła do pokoju, spuściła portyerę i zaczęła znowu wesołą gawędkę. Trwało tak minut kilka, dziéwczęta szczebiotały i przekomarzały się wzajemnie... kiedy nagle ujrzały z przestrachem groźną twarz pana Floryana, który, odchyliwszy portyerę, stanął we drzwiach z miną surowego sędziego.

Teofilka krzyknęła przerażona i machinalnie w téj chwili zagasiła świécę. Pan Floryan sądził, że chce tym sposobem ułatwić ucieczkę gachowi.

— Nie puszczę, nie puszczę! Przejdziesz chyba po moim trupie! wrzeszczał głosem ogromnym i rozkraczył się we drzwiach, niby kolos rodyjski, zastępując wejście.— Zosiu! zapalić świécę!

Ale dziéweczka przelękła siedziała prawie bez przytomności i nie spełniała rozkazu.

— Natychmiast zapalić świécę—zawołał, podniósłszy głos groźniéj jeszcze — Zosiu! czy słyszysz? Ani minuty zwłoki! Rozumiész?

Zosia wzięła zapałki i drżącą ręką zaczęła pociérać o pudełko... zepsuła kilka, aż nareszcie udało jéj się rozkaz wypełnić. Była bladą, niby marmur kararyjski—spojrzała na ojca, ale nie mogła znieść jego błyszczącego wzroku—skłoniła głowę do ziemi, jakby przytłoczoną brzemieniem gniewu rodzica—opuściła ręce i stała cicho, bez jęku ani skargi, roniąc łzy gorące. Pan Floryan skoczył do szafy i splondrował ją; zajrzał w kąty, pod łóżko, ale nie znalazł nikogo...

— Niéma! rzekł groźnie, ale to się nie ukryje — zaręczam asannom. Wiem o wszystkiém!

Dziéwczęta drgnęły.

— Tyś temu wszystkiemu winna, rzekł, przystępując do Teofilki. Pięknie mi się odwdzięczasz za opiekę i przywiązanie. Wziąłem cię do domu, kochałem niby własną córkę... tyś mi za to sprowadziła hańbę!... zepsułaś jedyne moje dziecko... pod moim dachem chciałaś krzewić rozpustę... O dziewczyno! dziewczyno! gdzieś podziała wstyd, skromność, uczciwość! Zastanów się tylko coś zrobiła!

— Proszę pana... kiedy pan wié wszystko, to niéma znowu o co tak się gniewać... odpowiedziała obrażona szorstkim tonem panu Floryanowi, czując przesadę i niewłaściwość zarzutów. Przestrach chwilowy ustąpił miejsca wrodzonéj śmiałości. — Wszakże nie robimy znowu nic tak bardzo złego—dodała, patrząc się w oczy zagniéwanemu episyerowi.

— Nic złego! zawołał oburzony. I ty mi śmiész to gadać z takiém czołem? Czy nie wiész, żeś siebie i Zosię na całe życie zgubiła...

— Dlaczego? żeśmy sobie trochę pozwoliły mimo pańskiego zakazu...

— One sobie chciały może więcéj jeszcze pozwalać! Chryste Jezu! słyszał kto kiedy coś podobnego!

— Takeś nas pan głodził... że musiałyśmy...

— Zamało, zamało, przerwał pan Floryan. Gdybym wiedział, że macie takie szkaradne skłonności, dawałbym tylko chléb i wodę....

Wtém z salonu ukazała się Zadzińska, która pilnowała schodów.

— Już idzie, rzekła do ucha rozindyczonemu jegomości, przerywając w największym perorowym zapale.

— Dwóch — czy jeden?

— Jeden.

— Cicho, stań tutaj asani... złapiesz go za lewą rękę, a ja za prawą.... schowaj się dobrze za firanką. — Dziewczyny do kąta... sza, ani mrumru.... już idzie....

Rzeczywiście dał się słyszéć szelest kroków w bawialnym pokoju. Pan Floryan zaparł dech w piersi i rzucił się z wściekłością na nadchodzącego, chwytając go za rękę i ściskając jak w kleszczach.

— Aj! aj! aj! krzyknął boleśnie stary Łukasz i upuścił na ziemię małą tackę, którą trzymał w ręku, przykrytą serwetą.... Na ziemi leżały ciastka, bułeczki nasmarowane masłem, pokrajane plasterki szynki, salcesonu, serdelków i pływały w lepkim damskim likierze, który sączył się z rozbitéj flaszki....

— Łukasz! krzyknął pan Floryan, puszczając rękę starego ulubionego sługi, stróża własnego domu. Zkąd u diabła masz to wszystko?... Co to się znaczy?

Stary tymczasem pozbiérał spokojnie szczątki zmarnowanéj biesiady—położył tackę na stole—podrapał się w głowę—skłonił do nóg panu—i rzekł dobrodusznie:

— Niech tam się pan nie gniéwa na starego Łukasza, że pokryjomu przyniósł ot trochę tego jadła. Pani Zadzińska, żal się Boże, morzy głodem nasze panieneczki, jakby chciała z nich zrobić, Panie odpuść, podobne do siebie *chuderlawe* wyschłe szczapki.

— Ale gadajże prędzéj, zkądeś brał to wszystko?

— A zkądby jak nie ze sklepów!..... Panienki dały pieniądze to i kupiłem. Moja babina chowa to zawsze w szafie przez cały dzionek, bo tutaj zaraz znalazłyby się oczki, coby podpatrzyły. Wieczorem zawsze tutaj przychodzę a jak panienki sobie podjedzą, sprzątam i zbiéram resztki do domu......

Pan Floryan znał nieposzlakowaną prawość starego sługi, wiedział że nie mięszałby się nigdy w brudne sprawki i we wszystkiém święcie mu wierzył. Zawstydził się tedy własnéj porywczości, przykro mu było, że dla bagateli narobił tyle krzyku i scen hałaśliwych......

— To asani, rzekł gniewnie do Zadzińskiéj, która stała zawstydzona i zmięszana — to asani swemi bzdurstwami dałaś powód całéj awantury, zawróciłaś mi głowę głupiemi plotkami.... Dawaj klucze! a jutro fora ze dwora, żebyś wiedziała czém to pachnie rzucać potwarze na uczciwe dziéwczęta.....

Stara spełniła rozkaz, ukłoniła się milcząc i wyszła.

Pani Salomea tymczasam, będąc smutnym i niemym świadkiem całéj sceny, pobiegła teraz koić zapłakaną Zosię i obsypywała ją pieszczotami....

— Moja Salciu, rzekł do niéj pan Floryan, oddając klucze, daj tam co jeść dziéwczętom..... Niech licho porwie wszystkie dyety! Widać im dobrze dokuczyły, kiedy musiały pokryjomu... ot, zawsze to złe, kiedy człowiek słucha czyjego głupiego gadania.... Ty, stary poczciwcze, rzekł do Łukasza, klepiąc go po ramieniu, idź do siebie i śpij — nie gniéwam się wcale — dostaniesz jutro na piwo. No, no, moje dziécię, rzekł do Zosi, rozpogódź oczęta — nie masz czego się smucić.... Teosiu, przebacz żem w gniewie jakie przykre słowo powiedział, bo, widzisz, ja myślałem....

Tutaj zaciął się na chwilę.

— Co pan myślał?... Za cóż to taki gniéw srogi?

— Ot, lepiéj nie pytaj! Doprawdy, patrząc na was teraz, wstydzę się żem coś podobnego mógł przypuścić choćby na minutę. Przecież z twarzy waszéj, z ocząt figlarnych nic innego nie można wyczytać.... tylko niewinność. No, no, teraz pocałujcie mnie, dziéwczęta; przebaczcie staremu podejrzenie niesłuszne i krzywdzące, a zato dziesięć razy więcéj kochać was będzie....

Pan Floryan rozczulił się istotnie, ściskał i całował córkę piérwszy raz w życiu z podobną tkliwością.... Teofilka równą miarę pieszczot odebrała.

Tymczasem pani Floryanowa przyniosła sama małą kolacyjkę, złożoną z zimnego mięsiwa, ciastek i bakalij..... Dziéwczęta rzuciły się na łakocie z prawdziwie wilczym apetytem, a sam pan Floryan pomagał im i zachęcał.... Oryginalny widok przedstawiała ta czwórka odziana w szlafroki, szlafroczki, czépki nocne, szlafmyce i pantofle, zajadająca po północy z wybornym humorem i ochoczą wesołością, która nigdy w takim stopniu nie ożywiała grona domowego państwa Floryanów.......

Wreszcie noc cicha utuliła ich w swoich objęciach......

Nazajutrz pan Floryan opowiedział całe zdarzenie jednemu z przyjaciół domu.... Gdy się ta wieść rozniosła w całém kółku znajomych, młodzież, namówiwszy się, nakupowała wspólnie pasztetów, bakalij, cukrów, win, likierów i innych przysmaków, i kazawszy to zapakować w jeden kosz ogromny, odesłała do domu państwa Floryanów razem z przepysznemi bukietami kwiatów. Na tym gastronomicznym podarku przylepiono karteczkę z napisem:

„Pokutnicom — na pociechę!“

Ten figiel ucieszył dom cały. Pan Floryan rozochocony wydał wkrótce walną zabawę i widział z radością, że nie potrzeba dyety aby młodzież szalała za jego dziewczętami. Piérwszy toast wzniesiony przez samego gospodarza i spełniony ochoczo, przy wybuchu powszechnego hucznego śmiéchu — był:

„Vivat — dobry apetyt!“

SULAMITA.

(Dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

V.

(Jedna z komnat w pałacu Salomona. Po lewéj stronie wysoki trójnóg, rodzaj stołu, przy którym w bogatém i szerokiém krześle siedzi Salomon. Długo milczy samotny—następnie, jakby ocknąwszy się nagle, zaczyna mówić:)

SALOMON.

Jak nocy chłód,
Jak ptasząt śpiew,
Jak myrry woń,
Tak poją mnie jéj piosnek rzewne słowa—
Gdy słyszę je,
Duch we mnie mrze—
Do piersi mi napływa rozkosz nowa!—
Drżącą mi skroń
Zalewa krew
I kipi w niéj... choć cały stygnę w lód.

Ach, kocham ją—tak—bardziéj niż... niż siebie—
Za serce jéj, za uśmiéch dałbym duszę—
Co tylko jest na ziemi téj i w niebie,
Com zdobył już, co jeszcze zdobyć muszę,—
Wszystkobym dał
Za głos ten jéj,
Za jeden dźwięk piosenki téj,
Za jeden, jedyny pieszczoty jéj szał!

(Po pauzie:)

Któż jednak wziął, kto skradł mi ten świat cały
Rozkosznych łez i śmiechów, marzeń, woni
I snów, co tak mnie swym czarem opętały,
Że mrę ot prawie na samę myśl już o niéj?
Czy jeden kto... z tych namaszczonych grona,
Co Boży znak na skroni nosząc swojéj,
W potędze choć jest bratem Salomona,
Jak on, niczego prócz Boga, się nie boi?

Czy król to—wódz—wieszcz jaki—prawd głosiciel—
Potęgi duch... budowca lub niszczyciel?

Nie!... sługa, płaz, jakich są całe roje
U stóp mych—pies, co liże własne kleszcze
Niewoli swéj... co liże ręce moje!
I toż mój wróg?

(zrywając się z siedzenia—gwałtownie:)

I jaż go cierpię jeszcze?

(Stoi chwil kilka—potém, siadając znowu, i jakby odpowiadaj ąc własnéj myśli:)

Więc zabić go?

(Milczy długo—następnie znowu:)

Tak!—
Marność nad marnością
Co tylko jest i będzie co pod słońcem—
Czas toczy się, kołem swych lat warczącem
Wgłąb ciągnąc gdzieś tę ziemię wraz z ludzkością...
Aż dni tych blask, krzyk, ruch i wir i drganie,
Co z puchu jest śród nas i co z kamienia,
Nie runie też w mrok, w nicość, że i cienia
Z dzieł naszych tu, ni śladu, nie zostanie—
Aż zbrodnia ma, jak kropla krwi śród rzeki,
Nie zniknie też, w mgłach nocy téj—na wieki!

(Zatrzymuje się i po przestanku znowu:)

Ha!—a jeżeli z pod wieków mgły szerokiéj,
Co ziemię jeszcze całunem swym pokryje,
Hydra *pamięci* wyciągnie nagle szyję
I smoczy łeb swój podnosząc pod obłoki,
Głosem, co będzie rósł w moc i w grozę codzień,
Z klątwą, na którą sam czart wytęży uszy,
Wrzaśnie... że w ziemi mój proch się aż poruszy:
„Zbrodzień Salomon!—król Judy zbrodzień!”

(Zrywając się:)

Zbrodzień!?...

(Znów po chwili:)

Jeżeli z blasku dzisiejszych dni, z ich zorzy,
Ma wstawać wiecznie dzień nowy, coraz nowy...
Gdy byt nasz tutaj nie żartem jest Jehowy...
Nie snem proroków mający przyjść sąd Boży?...

Jeżeli!!... *(Zatrzymuje się znowu i potém z refleksyą)*

Wreszcie—cóżbym i zyskał na tem,
Gdybym go zabił?... Jestże gdzie mocarz w świecie,
Któryby zdołał potęgą swą kobiecie
Nakazać miłość... choćby był stokroć katem?

(Rozgląda się po komnacie—następnie, uderzając się ręką w czoło i upadając prawie na krzesło:)

O, jakżem mały!...

(d. c. n.)

PRASA PERYODYCZNA.

(*Ciąg dalszy.*)

O pismach peryodycznych, poświęconych specyalnym przedmiotom, mówić tu nie będziemy, otwarcie wyznając, że ocenienie ich wszystkich przechodzi zakres kompetencyi naszéj.—Do pism takich zaliczamy: „Przegląd Katolicki”, „Zwiastun Ewangeliczny”, „Gazetę Lekarską”, „Klinikę”, „Gazetę Handlową”, „Merkurego”, „Przegląd Sądowy”, „Gazetę Rolniczą” i t. d. Zresztą, recenzya pism czy artykułów dotyczących religii, medycyny, ekonomii, prawoznawstwa i handlu, musiałaby przerodzić się w oddzielne traktaty oparte na zasadach ścisłych i zamienić następnie w dysputę poważnie naukową z każdym z pomienionych organów, gdyby który na czynione mu zarzuty odpowiedzieć raczył. W każdym więc razie pociągnęłoby to nas poza obręb, który sobie, przy rozpoczęciu niniejszéj rubryki, wytknęliśmy. Ograniczymy się przeto na doradzeniu dwóm tylko z tych pism specyalnych, jak: Gazecie Rolniczéj i Handlowéj, iżby piérwsza z nich, mniéj rozdając nasionek i własnych teoretycznych nauk swoim abonentom, pomieszczała natomiast w większéj ilości spostrzeżenia pochodzące od samychże rolników doświadczonych, jak to czyni „Korespondent rolniczy” wydawany przy Gazecie Warszawskiéj; — drugiéj zaś, ażeby więcéj i pilniéj zajmowała się handlem, zwłaszcza miejscowym, a natomiast zaniechała polityki, którą w sposób nader platoniczny traktuje. O ile nam wiadomo, z początkiem roku przyszłego ma wychodzić tu nowy organ poświęcony sprawom rolnictwa i spokrewnionego z niem przemysłu, pod tytułem „Tygodnik czy Przegląd Rolniczy”. Pobudzi to może do pilniejszego działania zaspaną nieco na teoretycznym materacyku redakcyą Gazety Rolniczéj.

O pismach wychodzących na prowincyi pomówimy późniéj nieco.

Tak więc, ułatwiwszy się ze wszystkiemi już prawie organami prasy tutejszéj i dawszy czytelnikom, acz zbyt powierzchowne może, o ich wartości i tendencyi wyobrażenie,—mamy teraz obowiązek wypowiedzieć zdanie swoje o jednym z nich jeszcze. Tym organem, tak wyjątkowo, a raczéj odrębnie jakby traktowanym tu przez nas, jest—„Przegląd Tygodniowy”.

Niech nam redakcya tego młodego jeszcze i tchnącego też życiem młodzieńczém organu nie bierze za złe, że w sprawozdaniu niniejszém pomieściliśmy „Przegląd” na samym końcu, albowiem koniec ten bynajmniéj za *szary* nie uważamy;—owszem, rozmyślnie pragnęliśmy oddzielić od wszystkich innych organów prasy warszawskiéj to pismo z powodu że nosi ono na sobie odrębne od wszystkich innych cechy; że samo jedno prawie odznacza się tą *żywotnością*, któréj w ciągu dotychczasowym całéj niniejszéj rubryki domagamy się tak uporczywie od każdego z rozbiéranych przez nas organów prassy tutejszéj.

Przypatrując się bacznie i bezstronnie całemu rozwojowi „Przeglądu Tygodniowego” od początku jego istnienia, każdy poważniejszy i przenikliwszy umysł dostrzeże, że pismo to odrazu wytknęło sobie tę drogę, po któréj dotąd wytrwale i uporczywie

kroczy. Wprawdzie, w pochodzie po takim szlaku, często bardzo mozolnym, bywały chwile, w których „Przegląd," niepoparty jeszcze uznaniem szerszego czytelników koła, pozbawiony materyalnych środków a już, obyczajem tutejszym, niedostrzegany przez wszystkie inne organa, takie zwłaszcza, które pomimo głośnéj blagi o szlachetności działań moralnych i wielkich frazesów o dobru publiczném, kryją się jak żółwie w skorupy indyferentyzmu i ogledności na własny interes, ilekroć im przyjdzie oddać innemu jakiemuś, choćby początkującemu organowi literackiemu, należne uznanie lub cieplejszém pokrzepić go słówkiem,—bywały tedy chwile że podczas takich przejść trudnych „Przegląd" nie zawsze zdołał utrzymać się *w tonie*, na który się nastroił, ani zrównoważyć siły piór, które go opracowywały. Prawdą i to nawet, iż zniechęcony długą obojętnością publiki i wreszcie, chcąc, bądź co bądź, zgromadzić dostateczne abonentów koło, żeby sobie egzystencyą materyalną a tém samém i głosowi swojemu przestrzeń szerszą wyrobić, — przyjął do szpalt swych powieść z rodzaju najbardziéj przez się wyklinanych.. lecz widoczném było, że robiąc nawet podobne dla smaku publiczności ustępstwo, uważał je tylko za pasport do przeprowadzenia swoich zasadniczych zdań i że ani na chwilę nie odstąpił od głównéj dążności, która zasadza się na tém, aby wykazać ogółowi, że królestwo mrzonek rozleniwionéj wyobraźni już się skończyło; że nieuctwo pozujące na heroizm, jest błazeństem tylko; że podbechtana próżnością i żądzą zysku blaga, choćby najzręczniéj pod płaszczykiem wielkich słów ukryta, jest tylko spotęgowaném łgarstwem, i że, zamiast marząc i łudząc się wzajemnie, grzebać w popiołach wystygłych już zupełnie, trzeba raczéj pracą ciągłą i wytrwałą rozniecić nowe ognisko, przy którém i serce ogrzać i umysł rozświecić cała społeczność może. Idąc do takiego celu, zaopatrzony ciągle w taką myśl przewodnią, „Przegląd" cechował nią wszystkie wydatniejsze artykuły swoje: — rzucał się szparko i zawzięcie na wszystko, co pochodowi takiéj dążności na drodze stawało. Dlatego to nawet uderzał ostrzem swojéj polemicznéj włóczni w takie nawet rzeczy, które jeszcze zwyczaj lub abstrakcyjnie pojmowana wartość trzymały w szacunku i w sympatyi większości społeczeństwa; dlatego to wpadał czasami w manjactwo bójki; dlatego w artykule o *„Pleśni społecznéj"* chciał wystrzelać po kątach poetów, którzy nad ruinami malowniczemi lub otoczonemi czarem wspomnień kwilili, doradzając im natomiast pisać ody na cześć lokomotyw przebiegających po tych gruzach rozbitych przez rydwan rozpędzonego postępu.

Idąc po takiéj drodze, „Przegląd" starał się przy każdéj sposobności wynosić na szczyt i popierać gorliwie wszelką postępową, dającą widoczny pożytek pracę. Widać to w wielu jego artykułach, widać w poparciu jakie dziełom zagranicznym, traktującym kwestye żywotne i utilitarne, przez tłumaczenie ich i wydawnictwo u nas, dawał. Nawet w wyborze poezyj, któremi niekiedy szpalty swoje przystrajał, „Przegląd" trzymał się téj samęj zasady, i k'woli onéj ulubionym jego poetą był autor Lilli Wenedy.. nie dlatego jednak, że był mistrzem wytwornego słowa i chmurami natchnień mistycznych otoczonym wieszczem, lecz że w jego potężnych kreacyach była i destrukcyjna siła, co taranem biła w zapleśniałe ideje i że tam często wykwitał ostry kwiat ironii gorzkiéj i trującéj...

Mniemamy, że powiedziawszy tyle na pochwałę „Przeglądu" i tak chlubne wśród prasy warszawskiéj naznaczywszy mu posłannictwo,—mamy prawo wymienić także słabe tego pisma strony. Otóż, grzeszy ono, nie już nadmiarem bojowniczości w polemice, gdyż tę mu, przez wzgląd na dążność, wybaczamy, lecz samą już formą wyrażania swoich niezadowoleń ustawicznych. W szpaltach „Przeglądu" czytelnik bezstronny ze zdumieniem spotyka często takie polemiczne wybryki, że mimowoli ogarnia go podejrzenie, iż niektóre tego pisma rubryki lub artykuły doraźne pochodzą z pod piór niedowarzonych młodzieniaszków, którzy, jak owe dzieci w bajce Krasickiego, nie wiedzą sami, że *źle się bawią*. Nie tyleby nam zresztą chodziło o samę formę i egzystencyą téj „swawolnéj" części „Przeglądu," gdyby ona nie wpływała na obniżenie *tonu* całego pisma i nie odbierała mu potrzebnego dla słów poważnych, moralnego kredytu. Bo czytelnik może, i słusznie nawet, powątpiewać o dobréj wierze najbardziéj nawet postępowego i najżywotniéj prowadzonego organu, jeżeli w nim dostrzeże takie rażące, dziecinne wybryki, jakie hasają rozuzdane w tak zwanych np. „Echach warszawskich" Przeglądu.

Nie mając złéj woli dla tego pisma, jak się zapewne z niniejszego o sobie artykułu samo przekonywa, nie podejrzewamy go, z powodu takich „wyskoków," o złą wiarę—sądzimy tylko że w téj młodéj jeszcze respublice literackiéj zawiele jest dotąd żywiołów anarchicznych, które koniecznie redakcya, przez wzgląd na powagę swojego zadania i na własny interes, udyscyplinować powinna.

Na tém kończymy „ogólny" przegląd chrakteru prasy warszawskiéj. Sąd nasz był może często surowym, zbyt ostro wyrażonym może i zapewne obraził niejednę koteryą literacką lub dotknął niejeden materyalny interes osobisty; lecz, z ręką na sercu utrzymujemy, żeśmy go wydawali w dobréj wierze i że wykazując bawełną obwinięte egoizmy i ogledności wpośród organów téj prasy, potrącając ostrzem pióra obumarłe kokony, osłonięte gnuśnie—chcieliśmy tylko pobudzić je do pracy zgodnéj z duchem oświaty, z hasłem postępu i z godnością umysłowego posłannictwa literatury peryodycznéj. Domagaliśmy się *żywotności* od wszystkich, bo zdaniem naszem, jest ona słońcem nietylko w literaturze, lecz we wszystkich działaniach społeczeństwa, myślącego trzeźwo o swojéj przyszłości i uczciwie a roztropnie pracującego na nią. Wśród potworzonych tu obecnie kółek wzajemnéj adoracyi literackiéj, które zniedołężniają w wir ich wpędzone umysły, wśród podkadzanych dymkiem pochlebstwa samozwańczych znakomitości, które nie na laurach lecz na grochowinach zasypiają smaczniéj od bohaterów,—potrzebnym był taki, mocny ton naszego głosu.

(d. c. n.)

TRUCICIELKI
W PAŃSTWIE FLORY.

(Dokończenie).

Rośliny Wilczomleczowate (Euphorbiaceae) więcéj rozmaite i liczniejsze od psiankowatych, posiadają typy wybitniejsze od innych rodzin flory.

Wszystkie prawie zawiérają sok mleczysty, ostry, kaustyczny. Sok ten właściwy téż innym roślinom, jest rodzajem żywicy płynnéj od któréj pochodzą ich własności lecznicze i jadowite.

Z pomiędzy Wilczomleczowatych odznacza się Bukszpan (Buxus sempervirens), drzewo ze słojem pięknej barwy żółtawéj, twarde, przedziwnie wytrzymałe, jednostajnie gęste i dlatego przez drzeworytników do rysunku i rytowania używane.

Bukszpan dochodzi 20 stóp wysokości w lasach południowéj Europy w niektórych jednak miejscowościach nabywa rozmiarów znaczniejszych.

W okolicach Genewy wzrasta bukszpan opisany przez Hallera, którego pień ma 7 stóp polskich w obwodzie. Drzewo to z wejrzenia smutne, liche, zdaje się usprawiedliwiać przysłowie: „Nie sądź z pozorów". Ani w niém powagi ani wdzięku — liść mizerny, przyklejony do długich gałęzi, kwiaty niewiele oko pociągające, co wszystko niepochlebnie uprzedza. A jednak pod tą korą pomarszczoną, barwy pospolitéj, gromadzą się atomy pierwiastków wybornéj tkanki drzewnéj, tak zbitéj i ciężkiéj, że nurza się na dnie wody, a tak delikatnéj, że służyć może rzeźbiarzowi zamiast rogu lub kości słoniowéj. Wyrabiają též z tego drzewa misterne tabakierki, — korzystają zeń drzeworytnicy, jak wspomnieliśmy wyżéj. Drzewo nagina się do najbujniejszéj fantazyi artysty i wymagań jego rylca.

— Dlaczego drzewo tyle użyteczne zaliczasz sprawozdawco do trucicielek?—zapyta czytelnik.

— Z przyczyny bardzo prostéj; ma bowiem liście bardzo jadowite, zwłaszcza téż gatunek krzewiący się na wschodzie—przymięszanie ich do piwa dla nadania mu smaku, najfatalniejsze sprowadza następstwa.

Z *ostromleczów*, afrykańskie, a pomiędzy niémi (Euphorbia officinarum) w kształcie olbrzymiego kaktusa, rozradza się na przylądku Dobréj Nadziei. Gatunek tego wilczomlecza podobnym jest do dziwacznych kaktusów, zwanych *świécami meksykańskiemi*, dla tego że rozrastają się w kształcie świeczników ramiennych.

Charakterystyką *ostromleczów*, jak sama ich nazwa wskazuje, jest własność wydawania soku mleczystego, ostrego, przeczyszczającego, często straszliwie jadowitego i fosforescencyjnego u niektórych gatunków równikowych.

Ostromlecze, zwane pospoliciéj *wilczomleczami*, tworzą liczny rodzaj złożony z kilkuset gatunków rozproszonych po całéj kuli ziemskiéj. Wszystkie cechują się osobliwémi kształtami liści albo kwiatów. Na stokach Atlasu i Przylądka wzrasta prosto, jak kolumna kamienna, ostromlecz kaktusowaty na 40 przeszło stóp pol. wyniosły, mięsisty, wypełniony sokiem tak ostrym, gdy roślina jest dojrzałą, że z palców ludzi go zbierających, skóra odłazi. Gdybyż na tém poprzestał okrutnik! Niesyty zadawanych tortur, wyschły, jeszcze udręcza. Zmienia się w tym stanie w proszek delikatny, tak drażniący, że sprawia silne zaognienie błon nozdrzowych, wy-

wołując przytém spazmatyczne kichanie, doprowadzające niekiedy dotkniętego niém człowieka do utraty życia. Botanik Bruce omal nie padł ofiarą jadu ostromlecza, potrząsnąwszy jego zeschłą łodygą.

Roślina to zabójcza — w małéj dozie użyta sprawia nieznośny ból, wymioty i konwulsye, w większéj ilości sprowadza śmierć po kilku godzinach. Istnieje też gatunek ostromlecza, w soku którego dość zamoczyć strzałę, aby zadaną nią ranę uczynić śmiertelną. Przejdźmy do innéj trucicielki, jakkolwiek jednéj z najużyteczniejszych roślin w medycynie: — Kleszczowiny (Ricinus communis).

Z powodu jéj wielkich palczastych liści, nazywana też *Ręką Chrystusa*, odznacza się kształtnością i dziwną barwą wynikającą z pomięszania fioletu z kolorem modro-zielonym. Sarkofagi egipskie, w których znaleziono kleszczowinę, dowodzą że była już znaną przed cztérema tysiącami lat i wysoce cenioną, gdyż Egipcyanie otaczali swe mumie tylko przedmiotami będącémi w powszechném poszanowaniu.

W klimatach umiarkowanych kleszczowina jest tylko rośliną trawiastą — w krajach gorących przeciwnie, tworzy piękne drzewa dochodzące często do 36 stóp pol. wysokości. Nasiona jéj sprawiają silniejsze drażnienie od wyciskanego z nich olejku.

Kleszczowina została zastosowaną w medycynie w końcu XVIII wieku i stopniowo rozpowszechniła się w Europie.

Cechą charakterystyczną roślin wilczomleczowatych jest pewne połączenie własności pożytecznych ze szkodliwémi. Z jednéj strony leczą, z drugiéj trują. Takim jest Maniok (Jatropha Manihot). Potężne jego korzenie mięsiste, z wiérzchu barwy zmiennéj, wewnątrz białéj, wydają sok mleczysty będący jedną z najgwałtowniejszych trucizn. Dzikie pokolenia południowéj Ameryki zatruwają nim swe strzały. Wewnątrz użyty działa na organizm z niepospolitą gwałtownością. Kilka kropli soku maniokowego zabija w 5 — 6 minut najsilniejszego człowieka. Widok zwłok skurczonych w drganiach konwulsyjnych, sinych, obrzmiałych, jest strasznym. Któżby uwierzył że taż sama roślina służy człowiekowi za pożywienie. Murzyni wszakże starannie ją uprawiają i posilają się korzeniem, po starciu go poprzedniém na proszek i oddaleniu soku jadowitego zapomocą silnego wyciskania. Z pozostałości zwanéj *Kassawą*, pieką placki, wydzielają też mączkę białą, słodką, pożywną, z któréj znowu otrzymuje się *Tapioka*, znana naszéj sztuce kulinarnéj.

Do wilczomleczowatych należy też Kroton albo *Krocień* (Croton Tiglium) znany dobrze cierpiącym na silne katary płucne. Z jadowitych nasion téj rośliny otrzymuje się oléj tłusty, gwałtownie przeczyszczający. Ostre jego wyziewy sprawiają zapalenie oczu, a 6 — 8 kropli olejku krotonowego na raz użytych, mogą zabić.

Liczymy bardzo wiele gatunków *krotonów*. Jeden z nich wydaje korę zwaną *Kaskaryłą*, która po zapaleniu wyziewa rozkoszną woń balsamiczną. Drugi dostarcza materyi farbierskiéj służącéj do otrzymania barwy błękitnéj, zwanéj w handlu *Turnesolem*. Trzecim *krotonem* żywi się pewien owad, który zakłówszy jego gałązki sprawia wydzielanie się materyi żywicznéj, szybko gęstniejącéj. Inny gatunek zwany *Drzewem Łojowém*, pospolity w Indyach i Chinach, ma nasiona obejmujące materyą tłustą, która gęstnieje, otacza owoce białawą powłoką i nadaje dziwaczną postać roślinie, po odpadku łupinek (valvae) otaczających ziarna aż do zupełnéj ich dojrzałości. Wreszcie ostatnim z *krotonów* jest prążkowany z przepysznym liściem, pięknego zielonego koloru, z żółtemi plamami połyskownemi jak blaszki złota. Śliczny ten krzew używanym bywa w Indyach do ozdoby sal w czasie uroczystości i pomników wznoszonych zwycięzcom.

Wypada nam z kolei zapoznać czytelnika ze słynną Mancynellą (Hippomane Mancinella), przedmiotem tylu legend i powieści. Trucicielka to niebezpieczna,—jagody jéj okrągłe jak jabłuszko, różowe, są równie jak sok gwałtowną trucizną. Biada temu kto pociągnięty miłą wonią Mancynelli skosztuje jej owocu, lub przyłoży liść do ciała. Następuje wówczas silne zaognienie i często gangrena śmierć sprowadza. Krople nawet deszczu spadłe z liści téj rośliny, wzdymają na ciele pęcherze, jak wezykatorya. Człowiek usnąwszy pod cieniem zdradzieckiego krzewu, według zapewnień niektórych naturalistów, nie budzi się więcéj. Mleczysty sok *Mancynelli* niemniéj wpływa szkodliwie na organizm; umaczane w nim strzały zadają rany prawie zawsze śmiertelne.

Po wilczomleczowatych następują Toinowate, przechodzące własnościami trującemi wszelkie inne gatunki roślinne. Wśród téj zbrodniczéj rodziny, mieści się wszakże niewinny, śliczny Barwinek (Vinca minor) i wspaniały Oleander (Nerium oleander). Do Toinowatych należy Kulczyba (Strychnes nux vomica), któréj nasiona zwane *Wroniém okiem*, zawiérają najgwałtowniejszą truciznę roślinną: *Strychninę*. Daléj występuje przed nami *Kurar*, *Tanga*, pokrzywy i zabójcza Cykuta.

Kulczyba należy do lyanów. W dziewiczych lasach Jawy roślina ta rozwiesza wdzięczne swe festony na najwyższych drzewach. Piraci malajscy umieją z niéj użytkować. Z kory korzenia kulczyby wyciskają truciznę straszną, zwaną *Upas*, która jeżeli się zmiesza z krwią człowieka, działa niezwłocznie na system nerwowy. Nieszczęśliwy ulega najpierw zawrotom głowy, potém lekkim konwulsyom, nakoniec odbiéra piorunujące uderzenie na cały układ nerwowy. Pod wpływem powtarzających się wstrząśnień kurczą się muskuły, następują drgania członków coraz gwałtowniejsze, nie ustające na chwilę,—szczęki ofiary wreszcie zacinają się, twarz powleka się barwą siną, głowa wygina się w tył ku kolumnie pacierzowéj, ciało sztywnieje,—trucizna spełniła swe dzieło.

Kurar działa przeciwnie, nie sprawia wstrząśnień ani konwulsyj, lecz znieczula ciało stopniowo, wskutek czego następuje paraliż w całym systemie mięśniowym. Każdy członek z kolei słabnie; sen letargiczny obejmuje zwolna ofiarę; ale przez pewien czas jeszcze oko zostaje otwartém, zwraca się, spogląda, żyje samo w zesztywniałém ciele. Do ostatniéj chwili człowiek zatruty *kurarem*, zachowuje przytomność umysłu.

Strychnina, Brucyna i inne pierwiastki trujące, działają głównie w Toinowatych, do których zaliczyć potrzeba *Tangę Madagaskarską* (Tanghinia venenifera) używaną na téj wyspie w sądach, dla okazania winy lub niewinności oskarżonych, podobnie jak odbywały się Sądy Boże w wiekach średnich. W tym razie jadowite nasienie Tangi daje się oskarżonemu w obec licznych świadków, między którymi znajduje się i oskarżyciel. Rezultat bywa czysto fizyologiczny. Jeżeli oskarżony ma dobry żołądek i silnie jest zbudowany, *tanga* zostaje wyrzuconą; w przeciwnym razie trucizna zabija.

Do roślin jadowitych wypadałoby zaliczyć pokrzywę *żegawkę* (Urtica Urens), ze względu na jéj przyrząd parzący dość ciekawéj budowy.

Cała powierzchnia liści pokrzywy najeżoną jest igiełkami mikroskopnémi, z których każda wytworzoną została z komórki podłużnéj, haczykowato zakończonéj. Podstawę każdéj komórki formuje mała torebka, wewnątrz jad zawiérająca. Za najmniejszém dotknięciem haczyk się kruszy i mała igiełka obnażona, zagłębia się wówczas w ciało jak sztylet. Wewnątrz wszakże tego sztyletu mieści się kanał, przez który za naciskiem przepływa jad z rezerwoaru dolnego, zapełnia ranę i sprawia ból dolegliwy.

Pokrzywy krzewiące się pod równikiem, są najjadowitsze, Indyanie nazywają je *liściami diabelskiémi*. Zakłuty tym chwastem człowiek, cierpi niewypowiedziane męczarnie, tém sroższe, że trwają przez całe tygodnie, miesiące a nawet lata. Zdarza się też niekiedy, że trzeba niezwłocznie odciąć członek schorzały, dla ocalenia życia.

Cykuta zwana *Szalejem* (Cicuta Virosa), przynosi zakał rodzinie Baldaszkowych, do któréj należą: pożywna marchew (Daucus Carota), aromatyczny dzięgiel (Angelica silvestris) i wonna Kolędra (Coriandrum sativum). Cykuta najpierw upaja swą ofiarę, potém ją paraliżuje. W starożytnéj Grecyi, skazanym na śmierć podawano napój z niéj przyrządzony, z domięszaniem maku, aby zasypiając, mniéj czuli wpływy trucizny. Sam pozór téj trucicielki odstręcza. Plamy sine, pokrywające jéj lichą łodygę, woń obrzydliwa, są piętnami złowieszczémi jéj charakteru. Korzeń młodéj cykuty przejęty jest sokiem mleczystym, gęstym, kleistym, smaku aromatycznego, po niedługim jednak czasie staje się ostrym i cuchnącym.

Na wyspie Ceos, dla usunięcia przeludnienia, istniało prawo nielitościwe dla starców. Każdy tam mieszkaniec, po ukończeniu sześćdziesiątego roku życia, musiał wypijać cykutę. W Atenach posługiwano się nią również w karaniu przestępców. Trucicielka ta zyskała smutną, ale głośną sławę od śmierci Sokratesa.

Czyż rośliny jadowite mamy bezwzględnie potępiać? Bynajmniéj. Skorzystała z ich własności medycyna, gdyż każda trucizna może być lekarstwem, jeżeli jest w odpowiednim stosunku użyta i umiejętnie zastosowana. Przyroda, ta rozumna matka, obdarzyła córę swą florę najrozmaitszémi a szacownémi przymiotami — do człowieka należy z nich użytkować.

W. Niewiadomski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

„Psychologiczne pytania XIX wieku. *3. O wolności woli, przez Juliana Ochorowicza.*"

(Dokończenie).

Przytém jest także rozebrana kwestya *słuszności kary*, która wedle autora o tyle tylko jest uzasadniona, o ile dąży do poprawy karanego lub zabezpieczenia społeczeństwa, nigdy zaś nie może się gruntować na prawie odwetu. Tak więc świadomość nie daje nam żadnego dowodu, któryby przemawiał za samotwórczością naszéj woli, owszem, obserwacya i doświadczenie wskazuje nam w każdéj czynności naszéj jakąś zewnętrzną pobudkę, która woli naszéj ten a nie inny nadaje kierunek. Pobudki te mogą nie być dla nas jasne w danéj chwili, gdyż przeszedłszy w przyzwyczajenie, w nałóg, ustaliwszy nasz charakter, działają w nas sposobem utajonym; ale zastanowiwszy się bliżéj nad okolicznościami naszego życia, stosunków, pojęć i t. p. odnajdziemy je napowrót. Prawa rządzą nami tak jak i całą naturą; jesteśmy jednakże wolni w tém znaczeniu, że żadna nieubłagana konieczność, żaden mus nie przypisuje nam naszych czynów. „Jestem wolny, ponieważ jestem w zgodzie z samym sobą, ponieważ czyny moje są swobodnym wypływem moich *upodobań*, mojéj woli. Jestem wolny, ponieważ mogę działać zgodnie z mojémi *chęciami*, z chęciami, które uważam za swoje własne, do których mnie żadna obca siła nie zmusza; a choćby mnie kto chciał zmusić do powzięcia pewnych postanowień, to jednak mogę się temu oprzéć, jeżeli moje przekonanie, moje poczucie moralne *ma dostateczną siłę do oporu*. Jestem wolny, ponieważ nie ulegam chwilowym pobudkom; z pomiędzy tych, które się przedstawiają w moim umyśle, mogę wybiérać tę lub owę według własnego *upodobania*. Jestem wolny, ponieważ ten wybór może być poprzedzony zastanowieniem się, kombinacyą pobudek i dać *wypadkową* czyli postanowienie woli, które mi sięwydaje najlepszém w danéj chwili, które najwięcéj odpowiada moim życzeniom. Jestem wolny, ponieważ działam z całą świadomością wpływów, które na mnie oddziaływają, z całą świadomością przewiduję następstwa moich czynów, ulegając prawom obowiązku nie dlatego, że mi je ktoś narzuca, lecz dlatego, że takowe budzą we mnie uznanie silniejsze od występnych pokus i pożądań." (str. 108). „Postęp moralny jest w naszéj mocy, ale ten tylko może *wychowywać samego siebie*, kto *poznał samego siebie*. Ten tylko może być wolnym, kto poznał swoję niewolę." (str. 140).

Taka jest najkrótsza treść tych trzech części, które nam obecnie p. Ochorowicz przedstawił. Część czwarta ma obejmować rzecz: *O metodzie przyszłych badań w przedmiocie wolności woli* i obejmie zarazem *krytykę ostatnich badań i streszczenie ich rezultatów*.

Oczekując z zajęciem dopełnienia obecnéj rozprawy, rozpatrzmy się bliżéj w tém, co mamy przed sobą. Metoda obserwacyj i doświadczenia, którą obrał autor za przewodem nowszych badaczów, ma wszelkie warunki osiągnięcia prawdy w daném poszukiwaniu. Przestarzałe apriorystyczne fantazyowanie, długo już męczyło głowę ludzkości, nie przynosząc jéj w nagrodę żadnych pozytywnych rezultatów. Rozbujanie wyobraźni a tém samém niepraktyczność w życiu—były jedynym, smutnéj niestety pamięci, owocem tego sposobu dociekania prawdy, w któréj szukano w eterach absolutu, gdzieś daleko w nieskończoność, kiedy ona była tuż przed nami, na ziemi. Czas więc zwrócić się z nadpowietrznéj drogi, ażeby nie uledz losowi Ikara i stąpać śmiało a odważnie po stałym gruncie naszéj planety... P. Ochorowicz ma śmiałość, nie zbywa mu też i na wprawie. To też z rzadką jasnością myśli i wysłowienia umié prowadzić czytelnika po gościńcach ducha, umie mu odkrywać tajemnicze sprężyny, które w nim działają i umié mu ich mechanizm tłumaczyć, dowodem tego są mianowicie trzy rozdziały w téj pracy, na które zwracano uwagę czytelników z których nie jeden znajdzie w nich nowe dla siebie a prawdziwe poglądy na cały rozwój naszego *poznania*, na urobienie się *świadomości*, na cały *zasób ruchów* cielesnych i duchowych, do których człowiek jest zdolnym i na powstanie w nas pojęcia *woli jako władzy*. Gdyby nie ramy sprawozdawcy, które zmuszają mnie ścieśniać się ile możności, wypisałbym tu wszystkie te trzy rozdziały, bo one, a szczególnéj trzeci (*o woli jako władzy*), najwięcéj mają oryginalności w przedstawieniu rzeczy i tłumaczeniu zjawisk naszego ducha. Co tylko mogła dokonać bystrość spostrzegawcza, siła dowodów i moc rozumowania, to wszystko zrobionem tu zostało i nie wątpię że każden czytelnik, jeżeli inne w nim przekonania zbyt głębokich nie zapuściły korzeni, musi się stać zwolennikiem idei autora. Naumyślnie wskazuję tutaj na szczegóły, gdyż główna zaleta téj rozprawy na nich właśnie polega; układ bowiem całości nie zupełnie zadawalnia wymagania dobréj książki *popularno-naukowéj*.

I tak przedewszystkiém zauważyć muszę, że pan Ochorowicz nie trzymał się metody *porównawczo-historycznéj*, którą sam w poprzedniéj swojéj rozprawie uznał za najlepszą w badaniach psychologicznych. A przecież tą drogą postępując, byłby książce swojéj nadał więcéj systematyczności i uchronił się od częstego powtarzania jednych i tych samych myśli na rozmaitych miejscach. Téj metody się trzymając, trzebaby było rozpocząć od „najniższych objawów woli u zwierząt i dojść do jéj emancypacyi w człowieku," trzebaby było dać dokładny historyczny rozwój pojęć o woli wpoprzek całych dziejów ludzkiego umysłu, a nie zadawalniać się jakiémi takiémi urywkami, które nawet w setnéj części nie wyczerpują całego zasobu dotychczasowych poglądów. A jeżeli to przechodziło siły autora, to należało się ograniczyć np. do naszych tylko myślicieli, choćby z obecnego tylko wieku, a obraz w każdym razie zyskałby nie tylko na interesie ale także i na względnéj pełności. Toby go ustrzegło od popełnienia takiéj omyłki, jak ta, którą wyraził na str. 45: „Dawniejsi psychologowie, używając niescisłych wyrażeń, utrzymywali nieraz, że my *niezależnie od popędów*, samą *siłą naszéj woli* pokonywamy najsilniejsze popędy." Bo otworzywszy np. *Filozofją umysłu ludzkiego* Jana Śniadeckiego, przeczytałby tam (Cz. II, roz. 3): „Człowiek nie może chciéć i żądać bez *przyczyny i pobudki;* walnémi dla niego pobudkami są potrzeby zachowannia i polepszenia swego bytu, zrobienia go *błogim i przyjemnym*, oddalenia od siebie wszelkich cierpień i przykrości, co stanowi *dobro* i *szczęście* człowieka, jako *jedyny prawie* cel jego żądz i skłonności. I jak rozum dąży w swoich działaniach do prawdy, tak wola dąży w swoim wyborze do dobra i szczęścia... Do trafnego wyboru potrzeba *koniecznie rozeznania*, którego nie ma wola, bo to należy do rozumu." Byłoby to również wykazało jednostronność jego poglądu na *idealistyczne systemy*, że one „całą moralność opiérały na myśleniu wyłącznie, w zupełném oderwaniu od uczuć; że Hegel i inni doprowadzili wolę do zupełnéj identyfikacyi z myśleniem". Bo przecież u Hegla wola przebiega trzy stopnie: *popęd*, *żądzę* i *skłonność* i staje się dopiéro *wolną wolą*. A i u nas idealista *Kremer* czyni wolę zawisłą od uczuć, popędów, namiętności, a wreszcie przechodząc do wolnéj, rozumnéj woli, w rozumie jéj czynniki upatruje i nie identyfikuje jéj z nim jednak. (Wykład systematyczny filozofji. Tom II § 505—520).

Tu także znalazłby określenie popędu zupełnie takie, jakie sam podaje, § 509 „Porównywanie własnego rzeczywistego stanu z tém, czém on dopprawdy być winien, zradza uczucie niestosowności, *braku*, niezadowolenia; a tak powstaje w nas podnieta do uzupełnienia naszéj istoty własnéj, do zniesienia braku, niedostatku; ta podnieta wyraża się *popędem*."

W przedstawieniu kwestyi *wolnéj woli* ze stanowiska ostatnich badań, nie rozumiem dlaczego autor pominął zupełném milczeniem badania statystyczne *Queteleta*, *Engela*, *Wagnera*, *Dankhwardt'a* i tylu innych. Wszakżeż rozbiór tych kwestyj w tém miejscu najwłaściwsze znalazłby miejsce... Dziwić się także wypada i wielce nawet żałować, że tak gruntownie napisany 19 list z Kreislauf des Lebens *Moleschotta (Der Wille)*, toż z *Büchnera* nie został nawet wzmiankowany. A toż tym właśnie ludziom zawdzięczamy w nowszych czasach podjęcie i zdolne bronienie tego ciekawego i niezmiernie ważnego zagadnienia o *wolności woli*. W ogóle ostatnia ta część pracy, pomijając że nie jest samodzielną i że w części powtarza to, co już nietylko w rozprawie *„Miłość, Zbrodnia, Wiara i Moralność"* było powiedzianém, ale nawet w poprzednich rozdziałach téjże saméj książki o Wolności Woli, pomijając mówię ten wzgląd, nie przedstawia ona nam nic ważnego. Rozbiór wiarogodności naszéj samowiedzy dalekoby łatwiéj i zrozumialéj można było zrobić, opiérając się na tém, że samowiedza znikąd inąd nie powstała, tylko z doświadczenia, co było już w piérwszym rozdziale ustaloném. Brak łączności nietylko pomiędzy częściami, ale nawet pomiędzy pojedynczémi rozdziałami piérwszéj części z jednéj strony, a powtarzanie kilkakrotne nietylko myśli, ale frazesów całych z drugiéj—nie przyczyniają się wcale do nadania zwięzłości i siły rozumowaniu. Być może, że autor miał tu na względzie popularne przeznaczenie swéj rozprawy; ale i w takim razie, o ile mnie się zdaje, chybił celu swojego. Jasność być powinna—to jest najpiérwszy i najważniejszy warunek każdego dzieła popularnego; ale nigdy rozwlekłość nie będzie miała za swój skutek jasności. Natężenie bowiem uwagi nowémi tylko pojęciami się zasila, w przeciwnym razie przytępia się; myśli błąkają się niemając stałego oparcia, a wówczas choćby najjaśniéj wypowiedziane myśli, nie przenikają do duszy z należytą mocą. Że zaś rzeczywiście brak owéj spójności, a obfitość powtarzania znajduje się w rozprawie p. Ochorowicza, można się łatwo przekonać z samego przeglądu rozdziałów i części. I tak, dlaczego po rozbiorze świado-

mosci, wyobrażeń i uczuć następuje rzecz o działalności zewnętrznéj, trudno pojąć. Tu jest mowa o ruchach wszelkiego rodzaju a zatém i o dowolnych, jest mowa o pobudkach tych ruchów, kiedy jeszcze sam akt pojedynczy woli nie został rozebrany i wyjaśniony. Dlaczego to spostrzeżenie, że jesteśmy silnie przekonani o przyczynowości wszech rzeczy, znajdujemy dopiéro w trzeciéj części, kiedy ono mogło być punktem wyjścia dla rozbioru pojedynczego aktu woli? i t. d. i t. d.

Toż samo co do powtarzania i peryfraz. Ileż to razy powtarzano, że kto zna dobrze charakter człowieka i okoliczności wśród których żyje, ten może przepowiedziéć jak on sobie w danym razie postąpi... str. 34: „Nawyknienie do pewnych *czynów* występuje jako poczucie potrzeby *tych czynów*, ale ponieważ powstało zbyt nieznacznie i tylko stopniowo wzrastało w siłę jako nałóg, przeto umysł nasz bardzo często prześlepia te tysiączne ale drobne wpływy, prześlepia nawet całą doniosłość takiego nałogu dla naszéj działalności. Dopiéro *sprzeciwienie się temu nałogowi* budzi silny niepokój i niezadowolenie, wykazując, jak silne były te uczucia oparte na przyzwyczajeniu.“ Str. 137: „Późniéj gdy to, co było tylko bezpośrednim pociągiem do przyjemności, albo odrazą do przykrości, przejdzie w nałóg i stanie się niemal naturalną skłonnością, wówczas z owego uczuciowego stosunku nie zdajemy sobie jaśniéj sprawy, nie mniéj *jednak sprzeciwiwszy się danemu nałogowi*, możemy się przekonać jak silném będzie wynikłe ztąd przykre uczucie, mogące służyć za miarę siły samego popędu.“

A takich i tym podobnych powtarzań jest bardzo wiele, zwłaszcza co do idei przewodniéj autora: że do wywołania postanowienia potrzeba koniecznie uczucia przemienionego w popęd; począwszy od pierwszego rozdziału, aż do ostatniéj niemal kartki, znajdujemy ją w sposób już krótki, już bardzo obszerny powtórzoną.

Jeżeli dosyć drobnostkowo wszedłem w rozbiór wad nowéj broszury pana Ochorowicza, to powodowałem się jedynie tym względem, że dziełka przeznaczone do popularyzowania nauki powinny być wypracowane z wszelką starannością, zwłaszcza jeżeli utwory te mają na celu propagować jakieś idee nowe, którym nie przyznano jeszcze publicznie należnego im prawa obywatelstwa, a to dlatego, żeby nie popaść w tę smutną okoliczność, jakiéj się dobrowolnie poddają ludzie zestarzałych pojęć, ratujących się wedle możności łataną frazeologią. Po co dobre wino w stłuczone butelki naléwać? Idea dobra, żywotna, przemawia sama za siebie i im krócéj, zwięźléj wypowiedzianą zostanie, tém większy wpływ na publiczność wywołać zdoła. A że idea, za którą walczy p. Ochorowicz, jest dobra, o tém ja bynajmniéj nie wątpię. Wykazywanie praw rządzących stroną duchową człowieka, jest jedném z tych usiłowań, które przynoszą spokój, harmonją w pośród tego bezładnego napozór chaosu myśli, uczuć i czynów, które życiem nazywamy. Przypadkowość jest dla człowieka rozumnego—nie powiem męczarnią, boby to było paradoksem—ale ubliżeniem. Ci którzy z punktu widzenia moralnego opiérają się ostatkami sił uznaniu prawidłowości w czynach człowieka, nie zbyt głęboko filozofują. Bo jeżeliby rzeczywiście czyny ludzkie wypływały nie z pewnych oznaczonych pobudek, ale gdzieś spadały z eterów bujnéj, rozhasanéj jak źrebiec stepowy woli, któréj niczém a niczém w świecie pokonać nie można, to w takim razie zwątpićby było potrzeba o wszelkiéj moralnéj poprawie tych nieszczęśliwych, co mieli ten honor, że się z wolną ale złą urodzili wolą... W takim razie na nich nie mogłaby podziałać ani żadna perswazya, ani uczucie żadne, bo to wszystko obiłoby się o nich, jak piłka o mur rzucona—odskoczyłoby od nich daleko, bo wola tu panem byłaby samowładnym. Gdy w przeciwnym razie, znając prawa kierujące wolą człowieka, można mu złym popędom tak samo zaradzić, jak się radzi rozhukanemu żywiołowi, stawiąc na drodze jego tamę, któréj już przełamać nie potrafi. „Możemy nie miéć siły do zmiany naszego postępowania,—powiada p. Ochorowicz (str. 140), ale ta którą mamy, może nam wystarczyć do szukania takich wpływów, do poddawania się takim wrażeniom fizycznym i moralnym, które, oddziaływając na nas, w przyszłości i owę zmianę postępowania sprowadzić mogą.“

Oto jest idea, za którą walczy p. Ochorowicz.

P. Chmielowski.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(*Ciąg dalszy*).

Teraz Sybilla więcéj uwagi zaczęła zwracać na swego tancerza. Więc to był Andrzéj de Renneville, bohatér uwielbiany przez Denizę, szlachcic piękny i dumny, pokonany w walce życia. Widziała go tak jak panny widzą, to jest nie patrząc się na niego. Był to przystojny blady mężczyzna, piękněj postawy, z wyrazem powagi w oczach i ustach. W twarzy malowała się siła miarkowana pewną melancholją. Z wysileniem przypominała sobie przez jak gorzkie przechodził doświadczenia. Ona więc ma przywrócić blask upadłemu domowi? W oczach jego czytała pełne uszanowania uwielbienie, obejście jego było rycerskie i ugrzecznione, a przytém wolne od wszelkiéj uniżonéj chęci podobania się bogatéj pannie. Mówił dobrze, choć nie był wygadanym; słuchając go, Sybilla czuła że ma przed sobą dobrego rodu i dobrze wychowanego człowieka.

Kiedy pan de Renneville odprowadził Sybillę do ciotki, ta zapytała jéj bardzo poważnie:

— Czy wiész, Sybillo, kto jest ten pan, z którym teraz tańczyłaś?

— Wiem,—odpowiedziała Sybilla cichym głosem—hrabia de Renneville.

Ton odpowiedzi uderzył pannę Glyn.

— Czy wiész, co go tu na ten wieczór sprowadziło?

Sybilla spuściła głowę bez odpowiedzi.

— I cóż ty myślisz o nim? zapytała ciotka.

— Piérwszy raz dziś dopiéro poznałam go.

— Moja droga, nie żądam iżbyś powiedziała: tak lub nie; ale możesz przecie mi powiedziéć, czy ci się nie podoba?

— Nie,—odpowiedziała Sybilla tym samym spokojnym tonem.

Miss Glyn powstała i powierzywszy Sybillę pani de Renneville, poszła do swego ciotecznego brata. Po krótkiéj konferencyi, przedstawiła mu hrabiego de Renneville. Sybilla patrzyła na to wszystko jakby we śnie. Te kilka słów, jakie spokojnie wyrzekła, sprawiły taki skutek: ojciec jéj zapewne miał już poprzednio pewne wiadomości o hrabi de Renneville i nie ma nic przeciw temu, żeby jego córka była hrabiną; tak więc hrabia otrzymywał upoważnienie do złożenia wizyty—była tego pewną. Ciekawa była czy poznawszy go bliżéj, będzie go mogła kochać, czy człowiek o którym godzinę temu nie wiedziała, był ową wybraną od losu istotą—jéj przyszłym mężem? Patrzyła na niego i na jego matkę, kobiétę zimną, milczącą, z pewnym rodzajem przestrachu. Czy będą kiedy kochać ją, plebejuszkę, czy zapomną o jéj nizkiém pochodzeniu? Przestraszona i zmartwiona była tém, że odrazu nie położyła końca temu stosunkowi, ale już było zapóźno; kilka słów, jakie wyrzekła, już ją zmuszają do nowego spotkania się z hrabią de Renneville.

— Cóż, Sybillo, tak spoważniałaś?—rzekł jéj ojciec wesoło.

Drgnęła nieco, spostrzegłszy go obok siebie.

— Czy gotowa jesteś do wyjścia? czy twoja nieporównana przyjaciółka także gotowa?—zapytał znowu Kennedy.—Sala już opustoszała.

W istocie dużo gości opuściło zabawę. Hrabia de Renneville i jego matka czekali jeszcze, zapewne tylko na rodzinę Kennedy. Sybilla wstała i podała rękę ojcu. Przyłączyła się i Blanka prowadzona przez swego tancerza. Hrabia stanął obok panny Glyn i sprowadził ją po schodach do karety. Kennedy usiadł na ostatku. Z rogu, w którym Sybilla siedziała, słyszała jak powiedział:

— Spodziéwam się że znajdziesz pan drogę do Saint Vincent w niezadługim czasie.

Odpowiedź cicha doszła ją jednak wyraźnie.

— Bardzo szczęśliwym będę.

Potoczyła się kareta po bruku. Przez całą drogę Sybilla nie brała udziału w ożywionéj rozmowie, żartach i śmiechach, do których się nawet panna Glyn przymięszała. W domu, długo bardzo myśl o wypadkach tego wieczoru spać jéj nie dała.

ROZDZIAŁ XIX.

Gdy na drugi dzień Sybilla późno wstawszy, schodziła na dół, spotkała Blankę, która przywitała ją zapytaniem:

— Jakże się masz, pani hrabino?

Sybilla pogroziła palcem i spojrzała na przyjaciółkę z pewném zdziwieniem.

— Byłaś na spacerze? zapytała.

— Przeszłam się trochę po ogrodzie.

— Myślałam żeś była nad morzem—patrz! i wskazała na pęczek morskiego porostu, przyczepiony do jéj sukni.

— Tak, byłam i nad morzem—trochę niecierpliwie odpowiedziała miss Cains.—Głowa mnie bolała i dla świéżego powietrza poszłam wzdłuż wybrzeża.

— Ależ to czas przypływu—rzekła Sybilla,—nie mogłaś przecie iść między skałą a morzem? (*D. c. n.*)

Z ŻYCIA GÓRALI.

W dwóch rycinach zamieszczonych na piérwszéj i na ostatniéj stronicy dzisiejszego numeru, podajemy czytelnikom produkcye dwóch odmiennych i różnych nawet zupełnie pędzli, powiązane jednakże tak ściśle z sobą, jedną, wspólną, a przeważnie *dramatyczną* myślą przewodnią, — iż nie mogliśmy się powstrzymać od zestawienia ich w podobny sposób obok siebie. Patrzmy:

Piérwszy przedstawia dziecię-górala, pasącego w dolinie, u stóp skał wysokich, kozy, z których się jedna, niezrażona nawet płotem co ją odgradza, w wodzie będącéj poza nim, a z wczorajszego deszczu zapewne pozostałéj,—ciekawie przegląda.

Drugi, takiegoż górala-męża, stojącego w wiele lat może później, pośród tychże skał samotnie i zamierzającego się zapewne skoczyć w przepaść... bo widać jak jedną pięścią odgraża się rozpaczy, gdy drugą rwie pomiętą na piersi koszulę.

Zda się te same rysy cechują obie twarze. Tylko jedna...

. . . . niewinna, spokojna, kwitnąca
Wdzięczy się, jak świt ranny do jasnego słońca;

Druga....

. . . smutna, ponura, jak noc... gdy z chmur (burzy
Tuman na nią upadłszy, grób i śmierć nam wróży.


Z życia górali.

NOWINY.

— „Powiastki Królowéj Nawarry“, utwór Scribe'go, i „Mentor“ hr. Fredry syna, odbyły już debiuty swe na naszéj scenie. O powodzeniu tych nowości scenicznych i grze w nich artystów cóż mamy powiedzieć po tylu recenzyach uprzywilejowanych naszych krytyków teatralnych? Nec Hercules contra plures. Śniło nam się, że nieboszczykowie wywołani z pól Elizejskich na scenę przez p. Scribe'go, czytali, usiadłszy na swych grobach, owe szumne i apodyktycznie wypowiedziane scentencye naszych Minosów, a czytając, ruszali dziwnie jakoś głowami — i zdawało nam się, że słyszeliśmy, jak mówili do siebie: „que diable nous emporte, si ces messieurs-là nous connaissent!...“

— Niezbyt dawno rozstrzygniętą została 50-cio letnia kwestya historyczna „Waterloo“. Dzisiaj, sądząc z zajęcia, jakie prassa peryodyczna objawia z powodu broszury jenerała Wimpfen o *Kapitulacyi Sedanu* i protestacyi jenerała Ducrot,—zapytać nam się przychodzi, czy na zgryzienie i tego twardego orzecha potrzeba będzie Francuzom lat 50-ciu?...

— Rzeźbiarze z całych Niemiec wezwani zostali przez komitet zajmujący się wystawieniem w Berlinie pomnika Goethe'mu, do uczestniczenia w konkursie na model posągu twórcy „Fausta“. Posąg ten ma być z marmuru; koszta ogólne mają wynieść 30,000 talarów.

— 16-go października odsłoniony został w Hall w Belgii, pomnik znakomitego, a obecnego, jak sądzimy, dotąd w pamięci publiczności warszawskiéj, wiolonczellisty Servais'go. Przedstawiono go tam w postaci stojącéj, owiniętego szerokim płaszczem, lewą ręką opartego na wiolonczelli. Posąg wypracował rodak nasz, zięć zmargo artysty, Godebski.

— W Carrara zmarł 25 z. m. Bernard Caciatori, rzeźbiarz, ostatni uczeń Kanowy.

— Juliusz Payer i Karol Wejprecht, porucznicy austryaccy, w podróży swéj do bieguna północnego, dopłynęli 150 mil daléj od wszystkich dotychczasowych podróżników i odkryli nową drogę do rzeczonego bieguna, do Ost-Gilesland.

— Teraźniejsza zima u nas bodaj czy nie najbogatszą będzie w zabawy. Do szeregu licznych już, wyliczonych przez nas w poprzednich pogadankach rozrywek, przybędzie jeszcze wkrótce jedna.... Jestto Towarzystwo śpiewaków francuzkich z Langwedocyi. Posłyszymy, jak też śpiewają *oliri* i zobaczymy jak to wygląda *la bonne mine à mauvais jeu.*

— Piérwszy koncert Towarzystwa Muzycznego w salach redutowych, ma być imponującym co do ilości, bo złożonym ze 150 osób. Jeżeli jakość odpowie ilości, będzie to wielki początek! W koncercie przyjmie udział orkiestra Teatru wielkiego, amatorowie i chór mieszany Towarzystwa, co podsumowane uczyni powyższą cyfrę.

— Do nader korzystnych instytucyj naszego miasta, niezaprzeczenie się zalicza Kassa pożyczkowa drukarska. Ma być ona otwartą nietylko dla drukarzy lecz i dla giserów czcionek, litografów, drzeworytników i rytowników.

— Prassa peryodyczna rossyjska wzbogaca się jeszcze od 1 Stycznia przyszłego roku jedném pismem peryodycznem „Sijanje“. Ma to być pismo wychodzące co tydzień, znakomicie illustrowane i najdostępniejsze ze wszystkich dotychczasowych illustracyj rossyjskich pod względem ceny.

— Pp. Gebethner i Wolff, po wydaniu kompletném utworów scenicznych hr. Fredry ojca, obdarzą publiczność naszę wydawnictwem, w 2-ch tomach, komedyj Fredry syna.

— Na scenie Teatru rozmaitości odbyła się próba czytana z dramatu Oktawa Feuillet'a: „Dalila“.

— Londyńska publiczność uraczoną została piérwsza nowym utworem Gounod'a: „Galia“ i przyjęła go ze szczérém uwielbieniem.

— Na scenie Teatru narodowego w Pradze Czeskiéj przedstawioną była komedya, a raczéj farsa p. Michała Bałuckiego: „Radcy pana Radcy“.

— Hrabia Engeström, o którym mówiliśmy już w „Nowinach,“ wydał w Poznaniu, pamiętniki swego dziada, który był posłem przy Stan. Auguście. Ciekawym do nich dodatkiem są dyplomatyczne dokumenta z Archiwum sztokholmskiego.

— Teatr rozmaitości odbył jeszcze jednę próbę z komedyi przełożonéj z francuskiego: „Zubożały pan.“ Utwór ten nie będzie może zbyt ciekawym dla tutejszéj publiczności; podobne bowiem komedye u nas, od niejakiego czasu, są na *porządku dziennym* w arenie życiowéj....

— Wydawca „Muchy“ ma wkrótce dać publiczności utwór deklamacyjno-muzykalny na fortepian, pod wiérsz H. Cieszkowskiego „Moja Chatka.“ Może w téj chatce przynajmniéj nie będzie *dowcipnych much!*

— Po objęciu roli reżysera teatru w Krakowie przez p. Rychtera, teatr ten bywa przepełniony widzami.

— Król włoski 16 Listop. b. r. przenosi stale rezydencyą swą do Rzymu.

Korespondencya od Redakcyi.

— *Panu Grzyb... z Suwałk.* Na zapytanie Pańskie, w skutek nieprzyjęcia wiersza Jego do druku: „co rozumiémy pod poezyą?“ odpowiadamy zwięźle, iż... pod poezyą rozumiémy—*poezyą*. Jeśli to jasne, chciéj Pan się nie gniewać; jeśli nie—chciéj Pan się... téż nie gniewać, udając się natomiast do pierwszego *lepszego* dziełka, traktującego obszerniéj o sztuce rymotwórczéj.

Wydawczyni Kazimiera Mosch.—Дозволено Цензурою.—W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415—Redaktor Franciszek Gumowski.